



CO SŁYCHAĆ?

Informator Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego – wrzesień 2010

Wspomnienie o Klimku



Zdjęcie ze zbiorów Jarka Majchera „TATRY – wehikuł czasu”

Klemens Bachleda (1849–1910) na Pośredniej Grani, 1906. Fot. Mieczysław Karłowicz

Antonina Sebesta

6 sierpnia minęła setna rocznica śmierci Klimka Bachledy. Na tablicy ufundowanej przez PTT w 1948 roku i wmurowanej w Dworzec Tatrzański w Zakopanem napisano: „Poświęcił się i zginął.”

Zdanie to wprawdzie oddaje istotę czynu Klemensa Bachledy, stanowi jednak duże uproszczenie. Klimek bo tak go powszechnie nazywano, zasłużył nie tylko bohaterską śmiercią ale całym trudnym, skromnym i bardzo pracowitym życiem na pamięć. To on, a nie Sabała winien być najbardziej znanym góraliem, gdyż jego zasługi i to na wielu polach są trudne do przecenienia, a jedyną wadę, którą z dzisiejszej perspektywy są niepojętym namiętności myślowe, łączył z Jasiem Krzeptowskim (Sabałą) i wieloma wybitnymi przewodnikami.

Klimek podczas epidemii cholery w 1873 roku podjął się niebezpiecznej i niewdzięcznej pracy grabarza, wtedy to po raz pierwszy ujawniły się jego cechy charakteru: odwaga, odpowiedzialność, zdecydowanie, a przede wszystkim ogromne serce zdolne nie tylko do współczucia ale też do poświęcenia. Praca ta nie ułatwiła mu jednak kariery zawodowej, nie umożliwiła też zdobycia stabilizacji ekonomicznej. Został cieślą i stolarzem po latach osiągnął w tych zawodach prawdziwe mistrzostwo.

W latach siedemdziesiątych zmuszony był do podejmowania wielu dodatkowych zajęć, z których funkcja tragarza a następnie pomocnika przewodników Macieja Siczki, Szymona Tataru czy Jędrzeja Wali (ojca) i Jędrzeja Wali (syna) zbliżała go do tego, co naprawdę go interesowało. Gdy uzyskał blachę przewodnika, zaczęto go polecać rodzinom z dziećmi oraz kobietom, był bowiem bardzo opiekuńczy w stosunku do mniej sprawnych turystów, a także niezwykle taktowny.

Wrodzona kultura osobista, nabyta w wojsku znajomość niemieckiego, przede wszystkim jednak nieprzeciętny dar orientacji w terenie i duże umiejętności wspinaczkowe sprawiły, iż stał się przewodnikiem elity intelektualnej, przewodnikiem o wymiarze światowym, docenianym przez Węgrów i Niemców. Wodził po Tatrach Kazimierza Tetmajera, Franciszka H. Nowickiego, Henryka Sienkiewicza. Później został partnerem i przyjacielem tych, którzy mieli ambicje sportowe, jak Mieczysław Karłowicz czy Janusz Chmielowski. Pisarz, taternik i członek TOPR Jerzy Żuławski charakteryzuje go następująco: *Cichy, rozważny, niewielki, z mięśniami w żelazo zamienionymi, z oczyma zdającymi się spod brwi namarszczonych skałą na wskroś przesywać – przesuwali się po ścianach najszaleńszych, szedł w górę gładkimi ko-*

► *cd. na str. 2*

Refleksje przed VIII zjazdem PTT

Janusz Badura

...czyli sprawy „rodzinne”.

Miłość do naszych ukochanych Tatr i innych gór, a także wspólne spędzanie czasu w górskich klimatach powoduje, że nie tylko czujemy się, ale i jesteśmy jedną wielką rodziną, znającą wagę prawdziwej, górskiej przyjaźni. Łączy nas „wirus” górski, który kiedyś oczarował nas na szczytach gór, skradł nasze serca i na zawsze zafundował naszymi umysłami.

Oby na VIII Zjeździe Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego nie został on osłabiony żadnym „antidotum”, bo tak jak w rodzinie – zdarzają się różne wstrząsy, tak i w naszej rzeczywistości zdarza się, że czasem „zaiskrzy”. Gorzej natomiast, gdyby konsekwencją takiej sytuacji – zamiast konstruktywnego wyciągnięcia wniosków – było działanie destrukcyjne. I dlatego gdy zdecydujemy się już przyjechać na Zjazd, to miejmy ochotę, a wręcz potrzebę na otwartość, powiedzenie tego co leży nam na sercu, a także wymianę poglądów z możliwie dużą ilością delegatów, bo przyjaźń do tego zobowiązuje. Mamy za sobą 29 lat od momentu reaktywowania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, nie bądźmy w tym momencie zbyt skromni i doceńmy to, co nasi poprzednicy uczynili indywidualnym i zbiorowym wysiłkiem – a jest tego całkiem niemało. Dołożmy do tego dorobku coś od siebie dla potomnych.

Ostatnimi czasy niemal w każdej dziedzinie życia można zauważyć nowe trendy, powstaje jakaś nowa obyczajowość (np.: postawy i zachowania części młodzieży), powstaje

► *cd. na str. 2*

W NUMERZE:

JUBILEUSZ ZDZISŁAWA DZIĘDZIELEWICZA
TEKST BARBARY MORAWSKIEJ-NOWAK

RÓŻOWE MIASTO – TULUZA
IMPRESJE MARCINA KOLONKO

WYCIECZKA NA „DACH WĘGIER” – GÓRĘ KEKES
RELACJA SZYMONA BARONA

minami, z niepojętą, czarodziejską zręcznością czepiał się końcami palców zaledwie namacalnych szczyb i nierówności – zawsze pewny, spokojny, ostrożny, a śmiały aż do szaleństwa. Generał Mariusz Zaruski zauważa: *Wiedział, kędy orły swe loty kierują i gdzie kozica pod skałą szuka noclegu. Znał szlaki podniebne i mateczniki lasów prastarych, gdzie niedźwiedź kudłami ociera się o chropawą korę smreków, a ryś na gałęzi czatuje.*

Powszechnie uznawany jest za najwybitniejszego znawcę Tatr i przewodnika przełomu XIX i XX wieku. Zdobył tak wybitne szczyty jak: **Ganek, Kaczy, Rumanowy, Staroleśny**, stanął też pierwszy na **Kozich Czubach i Zadnim Mnichu**. Uprawiał z powodzeniem taternictwo zimowe, zdobywając **Gerlach i Bystrą**, był pierwszym przewodnikiem, który zainteresował się narciarstwem. Nie tylko opanował sztukę jazdy na nartach, ale sam je robił, ulepsząc ówczesny model austriacki o urządzenie hamujące. Otwarty na nowości techniczne, sprawnie posługiwał się sprzętem alpinistycznym.

Aktywnie działał w Ochotniczej Straży Pożarnej, ofiarności w gaszeniu Dworca Tatrzańskiego zimą 1900 roku przypłacił bardzo ciężkim zapaleniem płuc. A uczynność wobec właścicielki jednego z zakopiańskich pensjonatów, który rozbudowywał (podpisanie węgla) – utratą majątku.

Ostatnia decyzja Bachledy wydaje się być konsekwencją całego jego życia, a nie tylko chwilowym impulsem moralnym. Wydaje się, iż w przypadku Klimka mamy do czynienia z postawą moralną, którą filozof egzystencjalista Karl Jaspers nazywał dążeniem do „czystości duszy”. Bachleda unikał za wszelką cenę sytuacji w której mógłby zostać osądzony o zaniechanie działania czy opieszałość. Należy pamiętać, że nie zgodził się objąć w 1909 roku funkcji naczelnika pogotowia, którą z uwagi na doświadczenie proponował mu Mariusz Zaruski. Przyszły generał w odpo-

wiedzi usłyszał znamienne: **Ni, ja dusy ludzkiej nie wezmę na swoje sumienie.** Stary przewodnik zdawał sobie sprawę, iż każda wyprawa ratunkowa niesie w sobie ryzyko, a uwolnienie się od winy, gdy nie zakończyła się pomyślnie nie będzie możliwe. Mimo skończenia sześćdziesięciu lat życia i przebytych chorób, w tym powtarzających się zapaleń płuc i osłabionego serca, nie tylko nie odmówił udziału w wyprawie po rannego Szulakiewicza, ale nie posłuchał polecenia dotyczącego odwrotu.

Po tragedii przeprowadzono śledztwo, eksperci stwierdzili, iż decyzja naczelnika Mariusza Zaruskiego o odwrocie była słuszna, (uznał, że ratownicy doszli do granic dopuszczalnego ryzyka). Jednocześnie nie nazwali mianem niesubordynacji czynu Bachledy, który jak napisali „samowolnie odłączył się od towarzyszy”. Po latach uczestnik akcji Walery Goetel tak wspominał 6 sierpnia 1910 roku: Dzień był okropny. Wszystkie złe moce tatrzańskiej niepogody: deszcz ze śniegiem, dotkliwie zimno i przelewające się mgły, tak gęste, że o parę kroków nie było nic widać, sprzyściły się, aby utrudnić akcję ratowania Szulakiewicza, unieruchomionego przez uszkodzenie kręgosłupa, ale żywego. Nigdy już nie dowiemy się czy bezpośrednią przyczyną śmierci Klimka był poślizg, atak serca czy też chwycenie się skalnego bloku, który razem z nim runął w przepaść. Wiemy, tylko to, iż ratownik odwiązał się od łączącej go z towarzyszami, a zaklinowanej liny, bo słyszał (albo tak mu się zdawało) głos rannego studenta.

Ciało Klimka pochowano 17 sierpnia na tzw. nowym cmentarzu przy ulicy Nowotarskiej, właśnie tam, gdzie przed laty grzebał ofiary epidemii. Pogrzeb był imponujący, przyszły tłumy. Po Klimku w Tatrach pozostała Klimkowa Turnia (najwyższy z wierzchołków Staroleśnego Szczytu), Klimkowa Przełęcz, Klimkowe Wrótka, Klimkowy Żleb. Pozostał też etos przewodnika i ratownika, podniesiony na najwyższe dostępne człowiekowi wyżyny. •



Fot. Jarek Majcher

Czy dla „tatromaniaków” Alpy Julijskie to góry?

kiczowate słownictwo. Na przeróżnych internetowych forach górskich „górołazi” prześcigają się z „tatromaniakami”, tylko że ja nie do końca wiem, czym oni się różnią. Czy może „tatromaniak” ma inne góry w pogardzie, czy też „tatromaniak” to ktoś, kto świruje na temat Tatr? Czy „górołaz” choruje na wszelkiego rodzaju „szczytowanie” i bez tego uzależnienia nie może żyć? Gdzie w tym wszystkim zagubili się prawdziwi turyści, towarzysze tatrzańskich wycieczek – dla których ochrona przyrody Tatr i innych gór stanowi priorytet i potrzebę numer jeden? A może już moja nieco „przyżółkła kartoteka” podpowiada, że nie powinienem zadawać takich pytań?

Ubolewam nad tym, że przez poprzednie lata nie byliśmy w stanie uporać się ze znalezieniem uczelni i doktoranta, którzy zgodziliby się na napisanie monografii o Polskim Towarzystwie Tatrzańskim. Powoli, ale systematycznie zbliża się okrągła rocznica – 140 lat historii Towarzystwa Tatrzańskiego i byłby to z pewnością dobry moment do sfinalizowania tego tematu, a zarazem test na współczesną kondycję Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i jak sądzę – jedno z priorytetowych zadań na kolejną kadencję. **Pragnę w tym miejscu dodać, że wspólnie z Szymkiem Baronem opracujemy od około pół roku biogramy członków honorowych Towarzystwa (w okresie od 22 listopada 1874 r. do dnia 16 grudnia 1950 r. godność tą nadano 98 mężczyznom oraz 2 kobietom). Mam nadzieję, że będzie to nasza skromna cegiełka do tego – tak potrzebnego nie tylko nam – dzieła. •**

Zdjęcie ze zbiorów Jarka Majchera „TATRY – wehikuł czasu”



Klimek Bachleda na wspinaczce (siedzi)

Nie bądźmy tacy hermetyczni!

Wojciech Szarota

Co słyhać, czyli ... zależy gdzie ktoś ucho przyłoży. Ciąg dalszy dyskusji nad kondycją Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Wostatnim numerze „Co Słyhać?” z ciekawością przeczytałem podsumowanie i próbę analizy kondycji naszej organizacji po 20 latach od reaktywowania. Basia Morawska-Nowak tkwi w Towarzystwie od samego początku i na pewno gromadzi wszystkie materiały, które do niej docierają. Jej zdanie jest bardzo obiektywne, chociaż z wieloma wnioskami nie mogę się zgodzić. Moje widzenie, spod Radziejowej, na naszą organizację jest nieco inne. Mam kilka uwag i spostrzeżeń pominiętych przez Basię lub błędnie zinterpretowanych.

Zacznę od problemów ogólnych. Tak, rzeczywiście brakuje nam normalnego, naturalnego gromadzenia, skupiania wokół organizacji młodych, prężnych ludzi. Zresztą epitet „prężny” jest jakby nie na miejscu. Młodzi z reguły, z natury są prężni, należy im nieco pomóc, wskazać kierunki, może dyskretnie kontrolować. To właśnie z powodu „starzenia się” organizacji jako Oddział podjęliśmy się przeprowadzenia kursu na kandydatów na przewodników. Efekt? Na razie kurs pomyślnie ukończyło państwowym egzaminem 7 osób, a czekamy na kolejne 10. Niech kilka z tych osób pozostanie w organizacji, spróbuje zmierzyć się z rzeczywistością, z blaskami i cieniami działalności społecznej. Tak, musimy sobie jasno powiedzieć, że jesteśmy wolontariuszami, których jedyną korzyścią jest uczestniczenie w realizacji pasji, marzeń, planów. Realizacja własnych ambicji lub znacznie gorzej, interesów, musi wcześniej czy później prowadzić do porażki i skłócenia środowiska.

Wiele razy zauważyłem nieskrywaną zazdrość (w pozytywnym znaczeniu) z powodu naszej może niezbyt urozmaiconej działalności (przede wszystkim wycieczki, wyprawy, wystawy, zabawy, prelekcje, wykłady). **Recepta wypracowana przez Macieja Zarembę jest bardzo prosta: trzeba realizować zakładane plany – czyli wycieczki z całą otoczką, jaką jest „mówienie o tym głośno” w myśl maksymy marketingowej „rób dobrze i mów o tym głośno”, łącznie z lokalnymi pismami, stronami internetowymi itp.** Każde pozytywne działanie zupełnie nie przysparza jakiegokolwiek zażenowania czy wstydu. Gorzej gdy powoduje wzrost „wody sodowej” wśród działających, dlatego wydaje mi się, że każdy mały sukces jest tylko siłą do kolejnych realizacji, pośród licznych małych porażek. Moja rada dla wszystkich ludzi z organizacji i spoza niej, dla których góry, Tatry są pasją, żeby gromadzili się w grupy, większe lub mniej-

sze, ponieważ wiem to po sobie – razem można więcej. Można zorganizować więcej wycieczek, więcej zobaczyć, wyżej wyjść, zrobić to taniej! Piszę te słowa z perspektywy przewodnika, nie „działacza”.

Zupełnie nie zgadzam się z koncepcją i funkcją składki członkowskiej jako podstawy egzystencji organizacji. Trzy lata temu na początku swojej kadencji w Prezydium Zarządu Głównego wygłosiłem na ten temat swoje zdanie i wiem po tych trzech latach, że rzeczywistość potwierdza moje założenia. Pomimo moich protestów zatwierdzono podwyższenie odpisu na rzecz Zarządu Głównego. W naszym Oddziale w związku z tym faktem nie podwyższono składki dla członków. Efekt? Rocznie kilkudziesięciu nowych członków, a wpływy ze składki dla ZG zdecydowanie najwyższe w całym PTT (z pozostałych Oddziałów wpływy raczej się zmniejszyły! – do sprawdzenia u skarbnika). Tak duża organizacja społeczna i non profit, musi poszukiwać innych źródeł finansujących działalność statutową. Zamiast rozglądać się z utęsknieniem za młodymi działaczami, może lepiej zmniejszyć im składkę?

Inną sprawą jest rzetelność zarządów, terminowość w rozliczaniu z Zarządkiem Głównym. Współczesne standardy w rozliczaniu publicz-

nych pieniędzy są bardzo ostre i nie ma się na co obrażać, a tylko właśnie dla tej przejrzystości zaakceptować je. Wydaje mi się, że właśnie na szkolenia w tym zakresie pomimo oporu materii powinno położyć się nacisk. Nasze 20-letnie działanie udowodniło, że można wiele, pomimo trudności finansowych i skromności zasobów mieszkańców regionu (na prowincji zarabia się po prostu mniej).

Starajmy się być mniej hermetyczni a bardziej egalitarni i to pomimo groźby posądzania o komunistyczne czy PTT-owskie standardy.

Współcześnie turystyka górską z powodów dostępności komunikacyjnej i cenowej jest bardzo „masowa”. Widać to zwłaszcza w ilości turystów odwiedzających polskie Tatry. Nie obrażajmy się i nie wywyższajmy nad tych „masowców”, spróbujmy nawiązać z nimi dialog, kontakt, spróbujmy ich czegoś nauczyć (myślę tu o wielu szczytnych celach statutowych), „wsłuchać się” w ich oczekiwania wobec naszej organizacji, coś im wskazać, zachęcić. Myślę, że na efekty nie trzeba będzie długo czekać. Każda aktywność w pozytywnym tego słowa znaczeniu jest przecież u nas mile widziana. •



Fot. Jarek Majcher

Wiercholek Giewontu, a może szczyt tatrzańskiego absurdu?

Szybki wypad na węgierską Matrę

Szymon Baron

W pierwszą sobotę września wybieraliśmy się na Gerlach – niestety, na dwa dni przed wycieczką zadzwonił przewodnik z informacją, że po słowackiej stronie Tatr leży zbyt dużo śniegu i musimy przełożyć wyjazd na październik...

W związku z tym, dość spontanicznie, postanowiliśmy pojechać na Węgry, by wejść na najwyższy szczyt tego kraju – Kékes (1014 m n.p.m.) oraz zwiedzić Eger. W pięć minut udało się skompletować czwórkę chętnych – poza mną wybierali się: Basia, Aga i Kuba.

Z Bielska-Białej wyjechaliśmy w piątkowy wieczór z zamiarem dotarcia na Węgry. Aby nie narazić się na kontrolę słowackiej policji staraliśmy się nie przekraczać dopuszczalnej prędkości i niedługo przed północą dotarliśmy na Węgry. Szybko znaleźliśmy odpowiednie miejsce na postój i nie mając większej ochoty na rozbijanie namiotu postanowiliśmy przespaciać się w samochodzie.

O poranku, gdy tylko opuściliśmy samochód na parking wjechali Cyganie. Nijak nie mogliśmy się z nimi dogadać – próbowaliśmy po polsku, angielsku i niemiecku, lecz oni znali tylko węgierski. Za pomocą rąk i kilku wyrazów stwierdzili, że ich akumulator nie działa i zapytali czy nie zaholowalibyśmy ich do Budapesztu... Odpalić na pych też za bardzo nie potrafili. Po nieprzyjemnych doświadczeniach z tą nacją sprzed trzech lat doszliśmy do wniosku, że skoro mają komórki, to mogą weważyć pomoc, a my spokojnie ruszyliśmy w dalszą drogę.

W drodze do Mátraházy zatrzymaliśmy się jeszcze w szczyrim polu, gdzie miejscowy po niemiecku wytłumaczył nam którądy dokładnie mamy jechać. Sprawdziło się to, o czym czytaliśmy przed wyjazdem – starsi Węgrzy doskonale mówią po niemiecku. Dodatkowo gdy dowiedział się, że jesteśmy z Polski, złożył ręce w geście przyjaźni przy okazji życząc nam powodzenia.

Następnie, już bez większych przygód dojechaliśmy do celu. Samochód został na parkingu, a my po spałaszowaniu śniadania ruszyliśmy niebieskim szlakiem w stronę szczytu. Można co prawda wyjechać samochodem niemal na sam wierzchołek, ale jaka byłaby to satysfakcja? Początkowo drogą, później stokiem narciarskim powoli pieliśmy się w górę, by na skrzyżowaniu szlaków skręcić za żółtymi znakami w lewo. Tym sposobem, nieco przez przypadek, trafiliśmy do ruin skoczni narciarskiej w Mátraházie – jednego z nielicznych obiektów tego typu na Węgrzech. Po wdrapaniu się na jej wierzchołek, z którego można było podziwiać piękną panoramę gór Mátra, ruszyliśmy na przetaj przez las w stronę stoku narciarskiego. Stąd było już niedaleko na szczyt.

Kékes nie jest szczególnie pięknym szczytem, lecz sam fakt dotarcia do najwyższego punktu Węgier wart jest odnotowania. W jednym ze sklepików, których tu mnóstwo zakupiłem dwa magnesiki za nieco wytargowaną kwotę.

Do samochodu chcieliśmy zejść drogą, lecz daliśmy się skusić na przyjaźnie wyglądający, biegnący przez las szlak – dzięki temu zejście zajęło nam nieco więcej czasu, niż przewidywaliśmy. Gdy w końcu zeszliliśmy na parking, kołowało się tam od ludzi – raniem nie było nikogo... Opuściliśmy więc Mátraházę i ruszyliśmy ku drugiemu punktowi naszej wycieczki – miastu Eger.

Planowaliśmy wrócić jak najszybciej do domów, na zwiedzanie Egeru poświęciliśmy więc zaledwie około godziny. Na początek zaliczyliśmy 40-metrowy minaret – najbardziej wysunięty na północ zabytkowy budynek z czasów inwazji tureckich w Europie. Po wyjściu wąskimi schodami na balkon mieliśmy okazję podziwiać panoramę całego miasta. Kolejnym punktem był plac Dobó z posągami upamiętniającymi historyczne zwycięstwo mieszkańców Egeru nad Turkami podczas inwazji w 1552 roku. Zwiedziliśmy tu również Kościół Minorita – jeden z najpiękniejszych kościołów barokowych w Europie. Z uwagi na brak czasu, pozostałe atrakcje Egeru oglądaliśmy już tylko z zewnątrz: zbudowane pod koniec XVIII wieku Liceum, Bazylikę będącą trzecią co do wielkości katedrą na Węgrzech, Pałac Arcybiskupi, a także zbudowany w XIII wieku zamek, który w 1552 roku był przez 40 dni broniiony przez Dobo Istvana i około 2000 żołnierzy przeciwko inwazji 20000 Turków. Spacer uliczkami Egeru utwierdził nas w przekonaniu, że to naprawdę przepiękne miasto.

Około 13.00 ruszyliśmy w drogę powrotną. Zatrzymaliśmy się jeszcze na szybki posiłek, zjedzony gdzieś przy bocznej drodze, po czym ruszyliśmy dalej. Do domów dotarliśmy wieczorem. •



Uczestnicy wycieczki na szczycie Kekesa

Zaproszenie na Gawędy Seniorów

Od 22 do 25 października 2010 roku w sudeckim schronisku „Pod Muflonem” w Dusznikach Zdroju odbędzie się spotkanie „Gawędy seniorów”.

Pionierzy PTT zapraszają na turystyczno-wspomnieniowe spotkanie w Górach Bystrzyckich seniorów PTT z rodzinami i wszystkich innych sympatyków gór. Spotkanie ma charakter stacjonarny, z miejsca zakwaterowania przewidziane są wycieczki w okoliczne góry (program do uzgodnienia). Udział w spotkaniu należy zgłaszać do Sekretarz PTS, Doroty Desławskiej, na adres: 54-152 Wrocław, ul. Wiślańska 18 m 5, tel. **71-373-85-24**; e-mail: **matti.dm@wp.pl** Na ten sam adres należy przysyłać do dnia 30 września br. przekazem (PTS nie posiada swego konta) przedpłatę w wysokości 1/3 kosztów pobytu, tj. 10 zł/za każdy przewidziany dzień. Prosi się o potwierdzenie uczestnictwa do dnia 5 października.

Spacer po „Różowym Mieście”

Marcin Kolonko

Francuska prowincja choć daleka od wielkomiejskiego zgiełku, potrafi być urokliwa. Jednym z takich miejsc – centrów kulturalno-przemysłowych – jest Tuluza, czyli „Różowe Miasto”.

Będem byłoby kojarzenie Tuluzę z jakimś przemysłem rozrywkowym w rodzaju dzielnicy czerwonych latarni czy Moulin Rouge. Swój przydomek zawdzięcza charakterystycznej barwie murów większości budynków znajdujących się na tamtejszej Starówce. Będąc w Tuluzie nieco dłużej można zagłębić się w koloryt tego miasta, jego wielokulturowość i zachwycić się nie tylko różnorodnością ulic i sztyldów małych restauracyjek, ale także ocenić zasoby tutejszych muzeów.

Można podziwiać piękny, strzelisty gotyk bazyliki St-Sernin, bądź eklektyczny styl Cathedrale St. Etienne. Można też przespacerować się słynnym rzymskim Pont-Neuf, czy którymś innym mostem na Garonnie. Bogactwo dóbr duchowych, jakie roztacza przed przyjezdnymi Tuluza sprawia, że narasta chęć do choćby lakonicznego ich opisanie.

Zacznijmy od centralnego placu „de la Capitole”. Zlokalizowany na nim jest Urząd Miejski, a także szereg eleganckich sklepów. Capitole to miejsce częstych happeningów, festiwali i akcji promocyjnych tutejszych firm, a także nazwa zlokalizowanej nieopodal stacji linii A tutejszego bezobsługowego metra. Od Place de la Capitole odchodzi szereg uliczek z których jedna – Rue du Taur – prowadzi do bazyliki St Sernin. Jest ona interesująca nie tylko ze względu na odprawiane Msze Św. (kilkanaście w ciągu tygodnia), czy ceremonie ślubne, ale także z uwagi na fakt, iż jest początkiem etapu Via Regia – drogi pielgrzymkowej wiodącej do Santiago de Compostella (gałąź arleżańska). Na bocznej bramie bazyliki widnieje charakterystyczna „muszelka”, a wewnątrz niezależnie od pogody zawsze wita przyjemnym chłodem. Kościół został zbudowany na planie krzyża.

Po drodze z Capitole do bazyliki znajduje się po lewej stronie Cafe „Pastel” ze wspaniałymi ciastami i sokiem z wyciskanych pomarańczy („oranges pressees”) po niewygórowanej w porównaniu z restauracjami cenie. Gospodarze są zawsze uśmiechnięci, niezależnie od wielkości zamówienia i wysokości napiwku.

Dalsza droga wiedzie na ruchliwy Boulevard de Strasbourg – arterię komunikacji kołowej, analogiczną do krakowskich Alei. Podobieństwo między Tuluzą i Krakowem wyraża się także w analogicznej liczbie mieszkańców zespołu miejskiego – rzędu 700 tysięcy – a także unikalności centrów starego miasta obu tych miejscowości.



Bazylika St. Sernin w Tuluzie

Tuluza mieści w sobie także wiele innych atrakcji, jak np. muzeum Airbus’a. Tu składany jest największy na świecie samolot pasażerski (mieszczący do 800 foteli) A380. Jego wymiary porównywalne są z rozmiarami boiska piłkarskiego – ponad 70 metrów rozpiętości skrzydeł. Taka „ptaszyna” kosztuje od 300 mln dolarów za sztukę, a pomimo to narodowi przewoźnicy chętnie ustawiają się w kolejce z zamówieniami. Samolot mieści około 500 km instalacji elektrycznej, a technologia jego wytwarzania przypomina tę zastosowaną w produkcji rakiet i promów kosmicznych.

W porównaniu z naszpikowanym elektroniką A380 dziecko brytyjsko-francuskiego przemysłu lotniczego o nazwie Concorde wygląda ubogo i topornie. Wnętrze pełne jest rozmaitych urządzeń, jest tam wąsko i surowo, i aż dziwi, że samolotem tym podróżować zechciał wielokrotnie francuski prezydent w latach 1974-1981 Valery Giscard d’Estaing. Maszyna przypomina olbrzymi myśliwiec. Jednak jest w jej prostocie i ostrej linii trójkątnych skrzydeł coś urzekającego. Może marzenie o lataniu z wielkimi prędkościami tkwiące w wielu z nas? Może serwowany przez przewodnika opis „wciśnięcia w fotel” przy energicznym starcie, na który Concorde używał nota bene ponad tonę

paliwa. Może owa legenda jedynej na świecie konstrukcji naddźwiękowego samolotu pasażerskiego (także Związek Radziecki miał swojego Tu-144, którego prototyp zakończył swoje loty tragicznym wypadkiem)? Co ciekawe, mimo że potrzeby rynkowe szacowano na kilkadziesiąt sztuk Concorde’ów wyprodukowano zaledwie 30. Oprócz katastrofy w 2000 roku, gwoździem do trumny projektu okazała się ekologia – nad kontynentem nie wolno było przekraczać bariery dźwięku (z uwagi na dolegliwy hałas słyszany na ziemi). Pojemność Concorde’a wynosiła zaledwie około 100 miejsc, co znacznie podrażało cenę biletu. Wreszcie wymagana długość pasa startowego była większa, niż dla większości samolotów komercyjnych. Egzemplarze Concorde’a trafiły zatem po 25 latach do muzeów lotnictwa i tam je można oglądać.

Oprócz techniki, kościołów i uliczek Tuluza ma także muzea. Jednym z nich jest Muzeum Augustyńskie z pięknym dziedzińcem-ogrodem i bogatym zbiorem obrazów. Inne to muzeum diecezjalne obok Bazyliki St. Sernin ze znakomicie udokumentowanymi wykopaliskami z czasów rzymskich. Przykuwają uwagę piękne, wierne rysy twarzy namiestników Cesarstwa, a także kolekcja kolumn i pogładowe makiety Tuluzę przed kilkunastoma wiekami. Wykopaliska te poczyniono w wielu punktach miasta, co sugeruje, że Tuluza jako osada była niewiele młodsza od słynnych Arles czy Awinionu. Przymina się tu krakowskie Muzeum Czartoryskich ze wspaniałym zbiorem antycznej ceramiki, rzeźby czy egipcjalów.

Poza wyżej wymienionymi obiektami w centrum Tuluzę znajduje się sporej urody dworzec kolejowy, zaprojektowany – podobnie jak ten w Bordeaux – przez Monsieur Gustawa Eiffel’a. Mieści 13 torów przy 7 peronach i został zbudowany w roku 1905, więc kilkanaście lat po słynnej Wieży Eiffel’a.

Ponieważ wielu z Was lubi podróże, zachęcam do skorzystania z szybkiej kolei francuskiej TGV bądź nocnego pociągu „Lunea” do Paryża. Tym samym wracam myślą z Tuluzę do stolicy Francji, zaniedbując wzmianki o zamkach Katarów, Kanale Południa, czy wspaniałych terenach rekreacyjnych i miejskich szlakach po „Różowym Mieście”. Bo tak naprawdę każdy kreśli swoje szlaki sam i niniejszy artykuł jest jedynie propozycją spędzenia czasu w tym pięknym, posiadającym ciepły, łagodny, śródziemnomorski klimat mieście.

Przez harcerstwo do taternictwa

Tekst: Barbara Morawska-Nowak, zdjęcie jubilata: Jan Słupski

Sylwetka najstarszego członka honorowego PTT – Zdzisława Dziędzielewicz-Kirkina.

Nasz najstarszy obecnie członek honorowy, Zdzisław Dziędzielewicz-Kirkin, 25 września br. ukończył 94 lata. W związku z niedawnymi obchodami stulecia harcerstwa polskiego w Krakowie chcę go przedstawić jako harcerza. To harcerstwo ukształtowało jego charakter: odwagę, zaradność, odporność psychiczną, wytrwałość w pokonywaniu trudności, dobrą orientację w terenie, odpowiedzialność, koleżeństwo i otwarty stosunek do ludzi. Przez całe życie pozostał wierny prawu harcerskiemu, nigdy nie pił i nie palił.

Zdzisław Dziędzielewicz urodził się 25 września 1916 roku we Lwowie. Naukę szkolną rozpoczął w Nowym Targu, ale następne dwa i pół roku mieszkał w Myślenicach i uczęszczał tam do gimnazjum. Właśnie w Myślenicach, 22 września 1928 roku wstąpił do harcerstwa, do drużyny im. Tadeusza Kościuszki, a 11 stycznia 1930 roku złożył przyrzeczenie harcerskie. W roku 1934 ukończył sławne zakopiańskie gimnazjum mieszczące się w willi „Liliana”, którego patronem został w 1937 roku prof. Oswald Balzer. Tam też 16 kwietnia 1931 roku wstąpił do I Zakopiańskiej Drużyny Harcerzy im. ks. Józefa Poniatowskiego.

Po pół roku bytności w zakopiańskiej drużynie i obozie harcerskim w Kozach koło Bielska zostaje podzastępowym; następnie po roku – zastępowym. Rozkazem Komendy Chorągwi Harcerzy z 4 lutego 1933 roku został mianowany drużynowym I Zakopiańskiej Drużyny Harcerzy. W drużynie działały rozmaite sekcje, w tym sekcja turystyczna. W 1933 roku był komendantem obozu wędrownego w Tatrach, który pokonał trasę: **Zakopane – Zawrat – Roztoka – Polski Grzebień – Gerlach – dol. Batorywiecka – Smokowiec – Matlary – Koperszady – Jaworzyna – Zakopane (8 dni)**. Następnie w zimie był komendantem

obozu narciarskiego na Hali Gąsienicowej. To jeszcze jedna dziedzina, którą uprawiał od najmłodszych lat – narciarstwo; był też założycielem Harcerskiego Klubu Narciarskiego. Z chwilą ukończenia gimnazjum na własną prośbę został zwolniony z obowiązków drużynowego. Studiował na Politechnice Lwowskiej. Prowadził tam zastęp starszoharcerski.

Zapis z jego książeczki służbowej: *„Na podstawie pisma Głównej Chorągwi Harcerzy w Krakowie l.1143/34 wolno mu jako członkowi I Drużyny Harcerzy w Zakopanem im. ks. J. Poniatowskiego nosić kapelusz kompanii wysokogórskiej”*.

W 1936 roku znowu był komendantem obozu wędrownego pod namiotami w Tatrach na trasie: **Zakopane – Hawrań – dol. Kieżmarska – Łomnica – dol. Pięciu Stawów Spiskich – Lodowa Przełęcz – dol. Jaworowa – Zakopane (6 dni)**.

Coraz bardziej poświęcał się wspinacze wysokogórskiej. Założył wraz ze Zbigniewem Kubińskim grupę taternicką, która przyjęła nazwę „Makolągwy”. Byli pierwszymi, którzy zaczęli stosować w Tatrach technikę hakową, zdobywając wiedzę na jej temat z niemieckojęzycznych książek. Dziędzielewicz projektował sam nowe wzory haków i rysunki dawał do wykonania kowalowi i ślusarzowi. Szelki zaczęli stosować w r. 1938, wcześniej niż starsi od nich i bardziej znani taternicy, a pętle z ławeczkami – w r. 1939. Przy zastosowaniu techniki podciągowej dokonali kilku znaczących przejść taternickich:



o wybuchu II wojny światowej, wspinali się jednak nadal).

•przejście zachodniej ściany Kościelca wprost, ściśle dnem komina (Zdzisław Dziędzielewicz, Stanisław Motyka i Stanisław Wrześniak 10 IX 1939).

Po bogatych przeżyciach wojennych, w listopadzie 1945 roku został przyjęty do Koła Zakopiańskiego Klubu Wysokogórskiego PTT.

W 1945 roku Zdzisław Dziędzielewicz przeniósł się do Gliwic i zapisał się na Politechnikę Śląską, aby kontynuować studia przerwane po IV roku wybuchem wojny. Równocześnie zaczął pracować na Politechnice jako asystent. W tym czasie w Gliwicach odradzało się harcerstwo. Na Politechnice Śląskiej powstała Komenda Drużyn Szkoleniowych ZHP, a Zdzisławowi Dziędzielewiczowi powierzono prowadzenie męskiej drużyny turystycznej. Stała się ona pierwszą powojenną zorganizowaną komórką taternictwa w Gliwicach, w której prowadzono szkolenie teoretyczne i praktyczne w Tatrach. Liczyła w 1946 roku siedmiu członków rzeczywistych i pięciu początkujących. Podstawowy sprzęt taternicki posiadał z początku tylko Dziędzielewicz, był on częściowo własnością grupy „Makolągwy”, którą wojna rozproszyła po świecie. Terenem wspinaczki był rejon Morskiego Oka z bazą w starym schronisku. W związku z brakami w sprzęcie wspinano się przeważnie grupowo „tramwajami” po drogach w skali taternickiej II do IV (sporadycznie V), a rolę instruktora pełnił Zdzisław Dziędzielewicz.

Dnia 3 maja 1946 roku miała miejsce w Gliwicach potężna manifestacja patriotyczna dla uczczenia Konstytucji Trzeciego Maja, ze znaczącym udziałem harcerstwa. Po tym wydarzeniu harcerstwo popadło w niełaskę władz PRL. Z czasem poskutkowało to zmianami – w 1949 roku została rozwiązana starszoharcerska drużyna wysokogórska w Gliwicach.

Zdych nadal rozwijał taternictwo, był jednym z założycieli kół Klubu Wysokogórskiego PTT w Katowicach i Gliwicach, ale działał się to już poza harcerstwem, a następnie po 1950 roku i poza Polskim Towarzystwem Tatrzańskim, w strukturach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, a następnie niezależnego od PTTK Klubu Wysokogórskiego. Całe życie był przede wszystkim instruktorem taternictwa, powszechnie lubianym przez swoich adeptów.

Z okazji urodzin Zarząd Główny PTT pragnie przekazać naszemu czcigodnemu i kochanemu koledze najserdeczniejsze życzenia.



Ranking i definicja górskich schronisk

Antonia Sebesta

Jaki obiekt służący turystom można nazwać schroniskiem górskim?

Wstyczni na ZG zaproponowałam ranking obiektów górskich, regulamin jest na naszych stronach Internetowych, dotyczy on przede wszystkim schronisk. Trudności z jakimi borykają się te placówki nagłaśniają media, w tym telewizja. W sierpniu w serwisie informacyjnym pokazano Skrzyczne i Chochołowską, zwracając uwagi, że ceny są duże, standard niski, wiele obiektów wymaga kosztownych remontów.

Niestety, jako organizacja możemy jedynie problem opiniować, schronisk bowiem nie mamy. Ich właścicielem jest PTTK, czasem osoby prywatne. Uwagi należy zacząć od sprawy zasadniczej, a jest nią **definicja schroniska górskiego**.

Poniżej przedstawiam swoje sugestie.

Należy zredukować liczbę schronisk i nie nazywać nimi obiektów położonych przy drodze o utwardzonej nawierzchni. Nazwa adekwatna, to dom wycieczkowy z ogólnie dostępną jadłodajnią czy bufetem turystycznym. Pozostałe obiekty można podzielić na dwie kategorie:

- łatwo dostępne (dojście to spacer po prostej szerokiej drodze np. Ornak czy dojazd kolejką np. Szrenica, Szyndzielnia).
- wymagające ambitniejszej wędrowki, pokonania minimum trzystu metrów wysokości czy marszu minimum półtoragodzinnego w lecie, np. Pięć Stawów, Łabowska.

Sądzę, że pierwszą grupę możemy sobie odpuścić, w końcu kiedy nie będą nam odpowiadały usługi nie skorzystamy z nich, jednak ograniczymy do zupy itd. Natomiast jako turystów użytkowników powinny interesować nas obiekty z drugiej grupy. Społeczność górotazów musi bronić ich „schroniskowości”, czyli atmosfery w nich panującej. A także podstawowego pakietu usług: suszarnia, wrzątek, porada turystyczna, informacja, spanie na podłodze, gdy nie ma miejsca, a warunki atmosferyczne są trudne, czy zapadł zmrok a turysta(tka) wędruje sam itd. Zasady rynkowe dobre są w mieście, ale wyżej 1200 m n.p.m. nie powinny obowiązywać, bo między innymi dlatego chodzimy w góry.

Na Iglicznej wprawiłam w zdumienie załogę, kiedy z tarasu odniosłam naczynie. Pod Muflonem byłam świadkiem jak żegnano gości, odjeżdżających samochodem po dłuższym pobycie, oficjalna nazwa tego obiektu to już dom wycieczkowy i dobrze. Szczeliniec przypomina McDonalda i chyba podobne ma obroty! Ale już w Pasterce jest fajnie – tylko, że to właściwie wieś. Schronisko schronisku nie jest równe, a ściąganie od wszystkich wyso-

kiego haraczu zabija to co najważniejsze, czyli wspomnianą „schroniskowość”. U mnie na Chełmie (stacja narciarska) jest karczma, ceny schroniskowe, dostęp wyciągiem czynnym w weekendy (lato), atmosfera plażowo-grillowa. Kilometr dalej jest już piękny stary las i zupełnie pusto. Większość populacji tam, gdzie przybędzie chce mieć to samo, co ma w domu: wygodne siedzisko, telewizor, muzykę, piwo z lodówki, stone paluszki. Schroniska są jednak dla tych, którzy należą do mniejszości i chcą czegoś zupełnie innego, ale o tym zapomniano...



Karkonoska SAMOTNIA nad Małym Stawem



Oblężone schronisko nad Morskim Okiem

Moja definicja schroniska

Jarek Majcher

Schroniska w polskich górach powstawały głównie w XIX wieku (choć są wcześniejsze i późniejsze wyjątki) po to, by mieszkańcom umożliwić poznanie gór. Państwo z Krakowa czy Warszawy nie chcieli być narażeni na kaprysy dzikiej przyrody i zamiast moknąć w kosówce lub marznąć w kolibie, wybierali nocleg w zapchlonym szałasie pasterskim. Z biegiem lat i dni niektóre takie szałaszy przebudowano na schroniska o wyższym standardzie. Pojawiła się obsługa, słynny darmowy wrzątek, posiłki, ogrzewanie, a nawet elektryczność. Kwestie związane z używaniem mydła i ciepłej wody zostały w wielu obiektach schroniskowych rozwiązane dopiero pod koniec XX wieku, choć bezzapachowe toalety stanowią wciąż w wielu miejscach problem nie do rozwiązania.

Ze schronisk korzystałem w latach 80. XX wieku. W latach ekonomicznego kryzysu i politycznej patologii. Skromnie wyposażone domki z pryzkami, różnej czystości kocami, wrzątkiem w kuchni, a czasem tylko smalcem, pomidorową i dwutygodniowym „świeżym” chlebem pozwalały jako tako przeżyć z dala od cywilizacji i w miarę racjonalnie zwiedzać najpiękniejsze miejsca Tatr, Karkonoszy i Beskidów. Czy dziś do nich tęsknię? I tak i nie. Wspaniale było wstać świtem i po chwili być już na głównej grani. Ale niewspaniale było spać w brudzie po całym dniu wędrowki.

Nie widzę żadnych(!) powodów, dla których górskie schroniska w Polsce nie miałyby być schludnymi pensjonatami na miarę XXI wieku. Z łazienkami w każdym pokoju, z dobrą kuchnią, czyli bez piwa i grilla, z wypożyczalnią sprzętu do wspinaczki czy spaceru i z dojazdem, jeśli do schroniska prowadzi asfaltowa droga (np. schronisko nad Popradzkim Stawem czy Śląski Dom pod Gerlachem). Jak to zorganizować, by nie było horroru rodem z MOKA? Trzeba pomyśleć. Na razie wśród właścicieli schronisk dominuje prosta chęć zysku albo niechęć do zmian. Czasem występują tzw. trudności obiektywne. Generalnie jednak dzierżawcy i właściciele schronisk dostosowują się do praw rynku. Dawna pryzka z kocem i „chłodny ale za to darmowy wrzątek” powinny jak najszybciej zniknąć z krajobrazu naszych gór. Podobnie jak „dzikie” tłumy z Morskiego Oka.

„Dreptusie” mają już 20 lat

Krzysztof Juszcak (Czas Ostrzeszowski)

Kiedy w Polsce rodziła się demokracja, jesienią 1989 r., grupa zapaleńców turystyki stworzyła w małej szkole podstawowej w Potaśni Młodzieżowy Klub „DREPTUSIE”.

Kiedy w Polsce rodziła się demokracja, jesienią 1989 r., grupa zapaleńców turystyki stworzyła w małej szkole podstawowej w Potaśni Młodzieżowy Klub „DREPTUSIE”. Jak przystało na klub działający przy ostrzeszowskim oddziale PTT, szybko „Dreptusie” ruszyły w Polskę wydeptywać nowe ścieżki.

Podreptały po Tatrach, Beskidzie Żywieckim, Karkonoszach... Zwiedziły Jelenią Górę, Karpacz, Szklarską Porębę, Książ, Zakopane... Brały udział w wielu rajdach po najbliższej okolicy. Jednym z popularniejszych był rajd „Pieczyska”, później przechrzczony na rajd „Tropem rosiczki”. Wędrowali na powitanie wiosny i pożegnanie jesieni, przemierzali Wzgórza Ostrzeszowskie, by uczestniczyć w otwarciu sezonu żeglarskiego w Kobyłej Górze. I tak swój ślad na pięknej ostrzeszowskiej ziemi wydreptywały kolejne pokolenia „Dreptusiów”, co dało razem znaczącą liczbę 151 osób. Dziś klub zrzesza 25 dzieci i wielką rzeszę rodziców, babć i dziadków, którzy sekundują wszystkim poczynaniom swoich pociech, a najmłodsze z nich mają po 4 latka. To oznacza, że przed „Dreptusiami” jeszcze wiele lat dreptania.

W minioną niedzielę w sali OSP w Zajęczkach „Dreptusie” świętowały swe 20-lecie. Był szampan (bezalkoholowy) i jubileuszowy tort, ale nade wszystko dobry humor i mnóstwo śpiewanych wspólnie turystycznych piosenek. Frekwencja dopisała – na rocznicowe spotkanie przybyły różne pokolenia „Dreptusiów”, bawiąc się i wspominając wędrowki sprzed lat. Nie zawiedli też goście, którzy jadąc z jednego dożynek na drugie, przysiadali wśród „Dreptusiów”, w podziękę otrzymując od nich piosenkę. Goście też się rewanżowali, ofiarowując nie tylko serdeczne słowa gratulacji i życzeń. Sekretarz W. Piekarczyk zadeklarował sfinansowanie przez miasto wycieczki do Wrocławia, z kolei europoseł A. Grzyb zaprosił do Brukseli (szkoda, że tylko dwie osoby z tego grona). Starostwa reprezentowała Z. Witkowska, zaś brat żeglarską kpt. Guder. W poczet zacnych gości zaliczyć też trzeba Szymona Barona – wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. To właśnie on wręczał nominacje najmłodszym „Dreptusiom”.

Gdy mówimy o „Dreptusiach”, zaraz przychodzi nam na myśl Gabrysia Bednarek – animatorka całego przedsięwzięcia. Nic dziwnego, że w trakcie spotkania niejeden raz śpiewano „sto lat” na jej cześć. Przy okazji wyszło na jaw, że dreptusiowa brać nie tylko potrafi wspiąć się po górach, lecz z równą swobodą wyście-

wuje wysokie dźwięki. Zastuga pana Owoca, przygrywającego na akordeonie, też w tym dziele nie mała.

„Dreptusie” to jest całe moje życie – twierdzi Gabrysia Bednarek. Może to są wielkie słowa, ale ja po prostu od zawsze jestem związana z turystyką. Wędrowki po Ziemi Ostrzeszowskiej rozpoczęłam jeszcze jako harcerka, a zamierzam chodzić – jak mówi Owsiak – do końca świata i jeszcze jeden dzień. Po dzisiejszym spotkaniu widać, że mamy przyjaciół, którzy wspierają nas i finansowo, i duchowo.

Opuszczając rozśpiewane towarzystwo, do wszystkich życzeń dołączamy swoje: Aby w drodze do kolejnych jubileuszy, piękno odkrywanej na szlaku przyrody, zawsze towarzyszyło piękno ludzkich serc.



WYDAWCA:

ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W KRAKOWIE
REDAKCJA: SZYMON BARON, MARCIN KOLONKO, BARBARA MORAWSKA-NOWAK
SKŁAD I LAYOUT: JAREK MAJCHER (WWW.FOTOGRAFIA61.COM)
ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW
E-MAIL: MORAWSKA@PTT.ORG.PL, TEL.: 12 634-05-89
WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE
[HTTP://WWW.PTT.ORG.PL/](http://www.ptt.org.pl/)